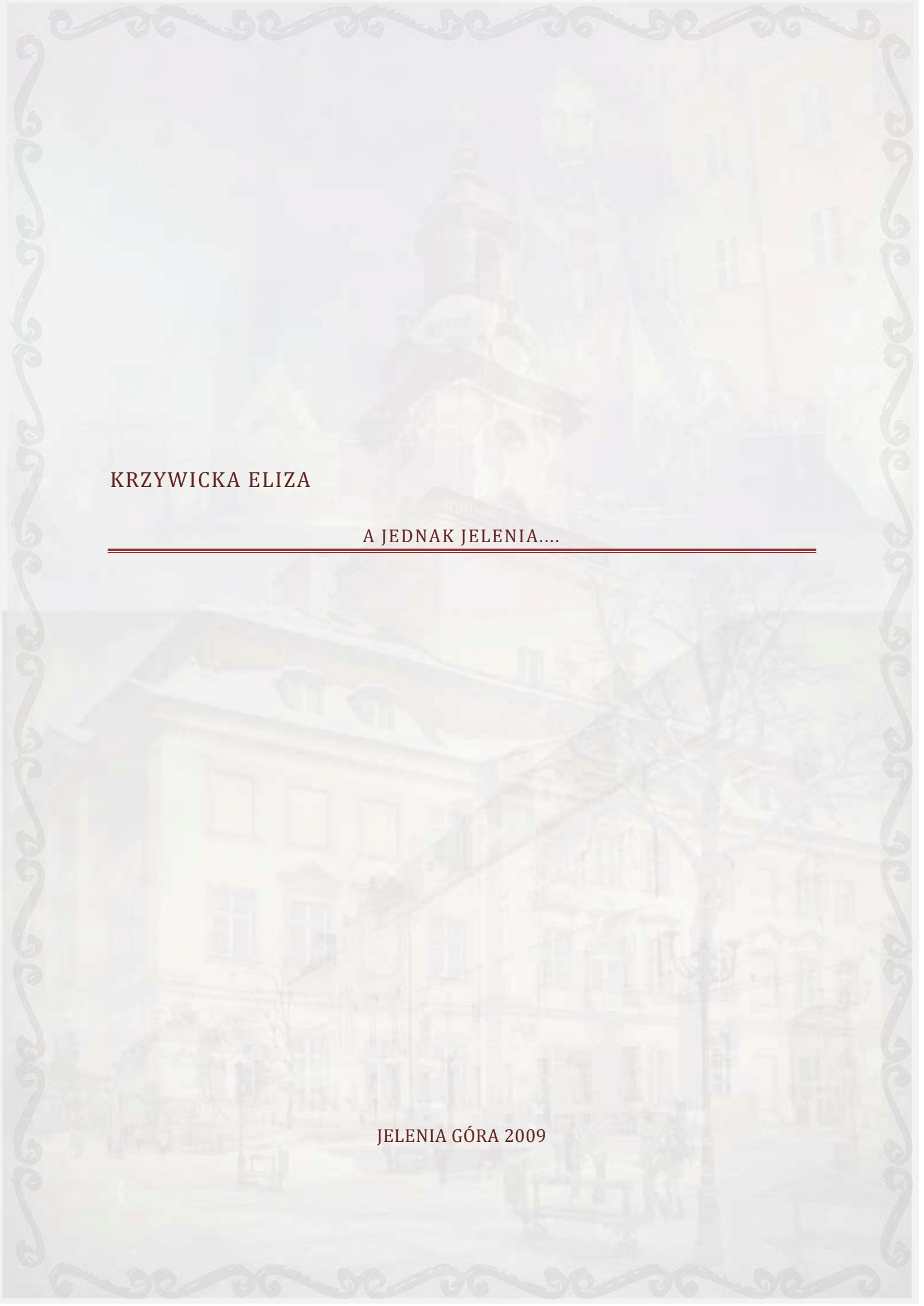




KRZYWICKA ELIZA

A JEDNAK JELENIA....

---

JELENIA GÓRA 2009

Maj 1984 mieszkałam w Świdnicy i gdy trzeba było zdecydować się po maturze, co dalej, od razu wiedziałam - Jelenia Góra. I góry blisko i babcia z mieszkaniem, i kierunek studiów odpowiedni - wydział związany z turystyką na Akademii Ekonomicznej. W decyzji pomogli mi rodzice. Wy tłumaczyli mi, że finansowo nie będą w stanie utrzymać mnie w jakimś innym mieście, a w Jeleniej Górze (właściwie to w Cieplicach) przy babci będę miała swój własny pokój, zawsze obiad...

Czerwiec 1984

Rozpakowuję swoje manatki w pokoiku w Cieplicach. Wydawałoby się, że dużo tego nie powinnam mieć, ale trzeba było wynająć małą ciężarówkę. Materace do spania (śpię na podłodze, ku zgorszeniu mojej babci) wszystkie ciuchy, półki na książki i pudła z książkami, rower, nazbierało się tego trochę. Już tu mieszkam, choć przecież nie wiem, czy dostanę się na studia. Ale matura zdana na same piątki napawa mnie otuchą - uda mi się! No i nie będę na egzaminie wstępnym osamotniona. Oprócz mnie papiery do Jeleniej Góry złożyła Irma - koleżanka z klasy i Jurek z Bielawy - kolega z zespołu tanecznego. Razem będzie nam rażniej. Na razie czekam na paczkę znajomych z klasy ze Świdnicy. Obiecali, że mnie odwiedzą na nowych śmieciach.

Byli...Darek, Marek i Irma. Trójka głodomorów, jak ich określiła moja babcia. No tak, jeść trzeba. Poszliśmy na wycieczkę na Chojnik. Z Cieplic można iść na piechotę. Z osiedla z mojego bloku przez wały, koło Domu Dziecka Dąbrówka, potem groblami między stawami do Podzamcza i tam już weszliśmy na szlak na zamek. Znamy już trochę ruin zamków w tych stronach. W trakcie liceum robiliśmy sobie wycieczki w te okolice i szczególnie upodobaliśmy sobie ruiny zamku Bolczów. To tam zaczęliśmy tworzyć własne legendy o tych okolicach. Między innymi podzieliliśmy pomiędzy siebie zamki i wzgórza. Mnie przypadł w udziale właśnie Chojnik i tak zostałam księżną Chojnianką. Nasza legenda nie miała nic wspólnego z Kunegundą i rycerzami spadającymi w przepaść. Ale koledzy oczywiście rycerzami byli...Obecna wyprawa była właściwie pożegnaniem z legendami i licealnymi przygodami w Karkonoszach. W ramach tego pożegnania koledzy pozostawili mi portret księżnej Chojnianki na ścianie mego pokoju namalowany czarnym mazakiem. Pokój i tak do malowania. Choć gdy przyjechał tato, pomalować mi ten pokój, bardzo mi tego portretu było żal. Ale to był bardzo trwały portret. Jeszcze spod trzeciej warstwy farby było go widać. Mój tato nie podzielał entuzjazmu dla tej ściennej grafiki, gdy malował po raz czwarty tę samą ścianę.

Lipiec 1984

Egzaminy wstępne. Denerwujemy się wszyscy. Jurek nam oznajmił, że podchodzi do egzaminów tylko dla rodziców, bo go do tego zmusili. On woli szkołę pomaturalną w Zakopanem. I rzeczywiście - na matematyce siedział nad kartką tylko tyle, ile musiał I oddał pustą! Wiem, bo siedział tuż przede mną i nie chciał żadnej podpowiedzi. Irma chodziła przejęta, że nie udało jej się dobrze zrobić jednego z zadań. W ramach relaksu po egzaminach, a przed ogłoszeniem wyników poszliśmy w góry...Jurek zaproponował nam wyprawę w Śnieżne Kotły. Poszliśmy od Jagniątkowa. Wycieczka zapowiadała się świetnie, humory i siły nam dopisywały. Niestety zabrakło jednego najważniejszego elementu - dobrej pogody. W górach, jak to w górach - wychodziliśmy w pięknym słońcu i idąc przez lasy nie spostrzeżliśmy, że niebo nad nami zupełnie się zachmurzyło. Deszcz ostrzegł nas paroma nieśmiałymi kroplami, po czym lunął intensywnie tak, że drzewa niewiele mogły nas uchronić. Jeszcze przez jakiś czas mieliśmy nadzieję, że to tylko chwilowe, ale Jurek ostrzegł nas, że nawet, jeśli przestanie padać, to my nie powinniśmy dalej na jeziora w Śnieżnych Kotłach się pchać. Kamienie są śliskie, a my mamy na nogach trampki. Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Nigdy wcześniej w tym miejscu nie byłam, wydawało się, że jesteśmy już prawie u celu, a tu taki odwrót? Schodziłam w dół nadąsana jak dziecko. Rozsądek doświadczonego turysty zwyciężył. A słońce za jakiś czas znowu nad nami zaświeciło.

Na liście osób przyjętych na studia znalazła się Irma i ja. Jurek, zgodnie ze swoim życzeniem, nie dostał się. Niestety, Zakopane również nie było mu pisane. Dostał się do takiej samej szkoły jak w Zakopanem - ale w Kłodzku.

Październik 1984

No, już jestem studentką. Życie studenckie rozpoczęłam od „zerowego” obozu studenckiego. Nie, nie był to obóz rozrywkowy. To był „obóz pracy” Wysłano nas do Zittau i zbieraliśmy kapustę i kalafiora z pól. Na polu kalafiora, na obiad kalafiora.... dość mam ich na długi czas. Ale poznałam tam już część ludzi, z którymi będę na pierwszym roku. Rażniej zaczynać w obcych murach wśród paru znajomych twarzy. W szczególności, że parę fajnych wydarzeń ubarwia nasze wspólne wspomnienia. Oprócz znajomych z uczelni mamy grono całkiem nowych znajomych -wojskowych. Otóż do naszej grupy pracującej w Zittau dołączono chłopaków z „podchorążówki” z Jeleniej

Góry. Spotykamy się czasem, gdy któryś z nich ma przepustkę. Razem z Irmą wybrałyśmy się również tam do nich - „pod jelenie”. Uraczono nas tam mało śmieszną dla nas historyjką jakoby jelenie stojące przy głównej bramie miały zaryczeć, gdy będzie przechodzić koło nich dziewica. Chłopcy się cieszyli..., a my nie wiedziałyśmy jak na to zareagować.

Na uczelni...trochę jak w szkole. Trzeba chodzić na ćwiczenia i wykłady. Zaskoczyło mnie, że na ćwiczeniach sprawdzają obecność jak na lekcjach w liceum. No i spotkało mnie pewne rozczarowanie... Otóż papiery składałam na ekonomikę turystyki, a znalazłam się w grupie, której specjalnością ma być gospodarka komunalna. No i mówią na nas „ścieki”. Na razie niby nie ma to znaczenia, bo wszystkie zajęcia mamy takie same - dopiero od trzeciego roku zaczynają się przedmioty specjalistyczne. Dobrze, że z Irmą jesteśmy w tej samej grupie. A ponieważ obie jesteśmy wysokie i trzymamy się razem, to nas mylą.

Styczeń 1985

Mroźno. Nawet bardzo. Temperatura za oknem -20 stopni. A czasem i -30. Na przystankach autobusowych pojawiły się „piecyki” - takie kosze metalowe wypełnione żarem z płonącego koksu, więc nazywają te piecyki „koksiakami”. Autobusy trochę jeżdżą, a trochę nie. Ponieważ z Cieplic mam dość daleko na uczelnię - 20 minut autobusem, nie mam wyboru - tkwię czasami na przystanku ponad pół godziny. W moim pokoiku niewiele cieplej. Okno mam takie, że cały mróz przenika do wnętrza, położyłam na parapecie starą pierzynę od babci, żeby mniej ciągnęło. W nocy śpię w śpiworze i pod kołdrą, i nie jest mi za gorąco! Czasami, gdy zasiedzę się u znajomych w akademiku, to wolę zostać już u nich na noc. Jeden raz postanowiłam wrócić mimo wszystko do domu. Zeszłam na przystanek przy „Małej poczcie”. Ludzi niewielu. Miał jechać jeszcze jeden ostatni autobus. Nie przyjechał. Stoję i dumam, zamarzając z wolna, że chyba jednak trzeba wrócić do akademika. Ale czy mnie portierka wpuści? Nagle zatrzymał się przy mnie radiowóz. No nie, widok milicyjnego radiowozu nigdy nie budził pozytywnych emocji...Tym razem milicjanci okazali się ludzcy i wyratowali mnie od zamienienia się w lodowy słupek podwożąc pod dom. Po pierwszym semestrze na pierwszym roku sesji egzaminacyjnej nie było. Potraktowano nas ulgowo. Cały ciężar zaliczeń i egzaminów czeka nas w czerwcu.

Maj 1985

Byliśmy razem z Irmą i grupką innych studentów w Warszawie. Jak dowiedzieliśmy się, że jest możliwość spędzenia tygodnia w Warszawie, ze zwolnieniem od zajęć, od razu się zgłosiliśmy, nie wnikając w istotę rzeczy. Zakwaterowano nas w koszarach na obrzeżach miasta. Sale mieliśmy dwudziestoosobowe, a może i większe. Łazienka - to pomieszczenie z metalową rynną z rzędem kranów z zimną wodą nad nią. Żeby dostać się do centrum miasta, gdy był czas wolny, jechaliśmy najpierw autobusem, potem tramwajem. Dobrze, że trochę tego czasu wolnego było. A powodem naszego pobytu w stolicy była...defilada czterdziestolecia PRL 9 maja, na placu Defilad pod Pałacem Kultury. Całe koszary były zajęte przez takich młodych ludzi jak my, z różnych środowisk. My byliśmy w baraku ZSP, sąsiedni barak to ZMW, oddzielny był z ZSMP. Było tego jeszcze więcej właściwi lokatorzy baraków, czyli żołnierze służby zasadniczej zostali przeniesieni do namiotów. Przedsięwzięcie musiało być ogromne, skoro wieloma autokarami zwożono nas, co rano, po śniadaniu, na lotnisko Bemowo, i tam uczono maszerować. Tydzień trwała ta nauka. Po czym przemaszerowaliśmy odpowiednio wyedukowani przed trybunami na placu Defilad i odesłano nas do domów. W Warszawie królowała świeża zieleń, kwitły bzy - wiosna w pełnym rozkwicie, w Jeleniej Górze jeszcze wszystko przed nami, dopiero nieśmiałe zielone pączki zapowiadały, że coś tu będzie kwitło. A przed nami 3 dni zabawy! Ekonomalia. Czas na luz i odprężenie przed czekającą nas sesją.

Większość imprez skupiła się w obrębie terenu uczelni, ale jeszcze czekała nas jedna „defilada”. Ale jakże inna. Barwny korowód przebierańców ruszył na miasto. Przeszliśmy od uczelni na Nowowiejskiej do ul. I-go maja, na Plac Ratuszowy i z powrotem. Roześmiani, roztańczeni, pomysłowość naszych przebrań nie miała granic. Miasto przez chwilę uśmiechnęło się razem z nami.

Czerwiec 1985

Egzaminy pozdawałam w „zerówkach”, czyli przed ich właściwymi terminami. To jest sposób na przedłużenie sobie wakacji! Tylko z matematyką tak się nie udało. Razem z Irmą pozdawałyśmy wszystko przedterminowo i mając dwa tygodnie przerwy do egzaminu z matematyki, wybrałyśmy się nad morze. Podróżując autostopem (pieniążków zawsze brak) dotarliśmy do Pobierowa. Oto luksus podróżowania bez

kosztów- po jednym dniu nad morzem, stwierdziłyśmy, że obowiązki wzywają i wróciłyśmy do Jeleniej Góry. Po drodze jeszcze wpadłyśmy do koleżanki ze studiów - Izy w Legnicy. Razem zeszło nam na tę wyprawę sześć dni. Matematyka poszła mi na tyle dobrze, że od razu po egzaminie pisemnym dostałam czwórkę do indeksu. Irma jeszcze musiała się pomęczyć osobiście przed profesorem. Biedna bała się, że grozi jej po pisemnym lufa, a tymczasem pan profesor miał tylko wątpliwości, czy ona zasługuje na czwórkę. Zasłużyłyśmy na wakacje! Po małej próbie pomiędzy egzaminami ruszamy w Polskę autostopem.

Październik 1985

Koniec lenistwa, bierzemy się z powrotem do roboty. Z radością spotykam swoją grupę. W grupie przybyło nam parę osób, ale i parę również ubyło. Dopiero teraz dowiaduję się, komu udało się przejść całą sesję egzaminacyjną. Niestety nie spotkam już Janka, który razem z Irkiem w pokoju w akademiku stanowili dla mnie najlepszą parę kolegów. Nowe osoby, to takie, którym nie udało się zaliczyć drugiego roku poprzednim razem i go powtarzają. Z takich osób poznaję Basię, bliską sąsiadkę z mojego osiedla. Z Irkiem i paroma innymi osobami idziemy „na miasto” oblać spotkanie. Ale to nie takie proste. Najpierw trzeba trochę się powłóczyć po mieście, by doczekać się godziny trzynastej. Dopiero o tej porze można kupić alkohol. Potem trzeba znaleźć lokal, w którym dostaniemy piwo. Koledzy dobrze znają rozmieszczenie kawiarni, do których należy zajrzeć. Łądujemy luksusowo - w hotelu Europa. Jest początek miesiąca, jeszcze możemy sobie na takie szaleństwo pozwolić.

Zapisuję się do biblioteki w Jeleniej Górze. Brak mi stałego dostępu do świeżych lektur, te pożyczane od znajomych, to trochę za mało, jeszcze mniej mogę sobie kupić. Jedyne, co mnie zniechęca, to kolejki. Niby to normalne, kolejki są wszędzie, ale żeby też w bibliotece ?

Listopad 1985

Zapisałam się do SSPONZ (Studenckie Stowarzyszenie Przyjaciół ONZ) . Jeżdżę na seminaria studenckie, gdzie możemy posłuchać ciekawych wykładów o stosunkach międzynarodowych, spotka ciekawych ludzi. Na początku miesiąca byłam w Miłkowie pod Jelenią Górą, a w porze Andrzejek byliśmy razem z Irmą w Toruniu. W czasie pobytu w Miłkowie odkryłam konie! Mają tam niedużą stadninę, a my studenci jeleniogórscy mamy tam możliwość jazdy konnej pod okiem instruktora w zamian za

pracę w stajni. Od razu do tego się przyłączyłam. Jest świetnie, choć na początku czułam się na koniu jak worek kartofli, a ręce bolały mnie od pracy.

Grudzień 1985

Jazda konna bez strzemion to katorga. Wszystko mnie boli, ale dumna jestem, że nie spadłam. Darek, starszy kolega ze studiów i doświadczony jeździec chwali mnie, że nieźle sobie radzę. Na studiach też idzie mi nie najgorzej. Egzamin z prawa zdałam przed terminem. Zawsze podczas sesji będzie już źlej.

Styczeń 1986

Lekarstwo na nerwy - wyprawa w góry. No, chociaż mały spacer. Zastosowałam ten środek w trakcie sesji egzaminacyjnej. Egzamin z ochrony środowiska - pisemny o ósmej rano, ciężka sprawa. Wyniki - o osiemnastej. Kilka osób już wie, ale to nie jest dobra wiedza, bo zostali przez profesorkę wyrzuceni z sali za ściąganie. Niestety w tym także Irma, więc nie trzymamy się razem. Ona już ma świadomość czekającego ją drugiego terminu, a ja czekam w niepewności. Jak tu wytrzymać tyle godzin? Przebrałam się z eleganckiego stroju, wsiadłam w autobus do Przesieki. Wsiadłam na ostatnim przystanku i tak jak autobus jechał pod górę, tak ja ruszyłam jeszcze wyżej. Dotarłam do skrzyżowania z drogą sudecką. Tam stał wojskowy gazik, w nim biedny, zmarznięty i znudzony żołnierz. Taka służba. A zima piękna....Przynajmniej dla mnie, spragnionej takich widoków - mnóstwo śniegu, drzewa obsypane białymi czapami i do tego świecące słońce.

Rozgrzana drogą pod górę zabawiłam żołnierza krótką rozmową, sama trochę odsapnęłam i ruszyłam dalej - tym razem w dół drogą sudecką do Borowie, i dalej do Podgórzyna, gdzie już można złapać autobus do Cieplic. Im niżej, tym tego śniegu coraz mniej. Z bolącymi nogami i w świetnym humorze poszłam dowiedzieć się o wyniki egzaminu. Zdałam.

Luty 1986

Sesja trwa nadal. Zima również. Za oknem śnieg pada i rozprasza uwagę. Zamiast w książki patrzeć za okno. Kolega z AZS (Akademicki Związek Sportowy) namówił mnie na wypożyczenie od nich nart biegowych i jak tylko mam chwilę czasu, to zakładam je na nogi i wyruszam na okoliczne pola. Szczególnie wzgórze w kierunku Marczyk są do tego biegania odpowiednie. Zresztą nie jestem osamotniona. Nie, nikogo nie spotykam,

ale gdy tylko wyruszyłam pierwszy raz poza zabudowania, natrafiłam na tor wyrobiony przez amatorów nart biegowych. Podłączyłam się pod tą trasę i pozwoliłam się zaprowadzić aż do Marczyc. Taka zima podoba mi się bardzo. Może trwać. Pod koniec lutego pojechałam na międzynarodową Szkołę Zimową SSP ONZ pod Krakowem.. Język obowiązujący - angielski. Towarzystwo - międzynarodowe - studenci z Holandii, Niemiec, Malty, Jugosławii i Związku Radzieckiego. Całe przedpołudnia spędzaliśmy na dyskusjach w grupach roboczych i słuchając wykładów. Wieczorami szlifowaliśmy angielski towarzystwo. Najsympatyczniejsi okazali się studenci z Malty. W międzyczasie zafundowano nam spektakl w wykonaniu jakiegoś zespołu teatralnego ze Stanów Zjednoczonych. Październik 1986

Kolejny rok studiów. To już trzeci. Zostałam jednak na tych „ściekach”, zabrakło mi uporu, by się przenieść. Irma to zrobiła już w poprzednim semestrze, a ja zostałam z moją starą grupą, z którą zdążyłam się już zżyć. Cierpię na chroniczny niedobór kasy i aby podreperować budżet - robię na drutach dla ludzi swetry.. Jeżdżę nadal na różne seminaria SSPONZ i podjęliśmy się nawet zorganizować tu w kole jeleniogórskim seminarium pod koniec grudnia razem z sylwestrem. Temat - ochrona środowiska, bo takich tu mamy najlepszych specjalistów, a wspomozemy się własną kadrą. Miejsce - to nasz ukochany Miłków z pałacem i stadniną koni. Darek - ten od koni, obiecał mi pomóc.

Grudzień 1986

Ręce mi opadają, bo krucho z zabezpieczeniem finansowym naszego seminarium, a noclegi z wyżywieniem kosztują. Obiecano nam z Urzędu Miejskiego z wydziału ochrony środowiska trochę środków i jeszcze muszę jechać do macierzystej uczelni do Wrocławia, tam też mają fundusze dla studentów na takie spotkania, ale trzeba o nie uparcie zabiegać. Dobrze, że Darek wspiera mnie swoją pomocą, a wszyscy bardzo liczą na te kilka dni u stóp gór. Za noc sylwestrową każdy płaci za siebie.

W ostatniej chwili rozesłałam zawiadomienia, że udało się wszystko dopiąć - telegramami po uczelnianych kołach i spotykamy się w Miłkowie. Styczeń 1987

Nie najlepiej rozpoczęłam Nowy Rok. Na pierwszej tegorocznej jeździe konnej – a wybraliśmy się w teren, spadłam z konia. Czy to koń taki złośliwy, czyja niezdarna, nie wiem. Dość, że spuchnięta noga unieruchomiła mnie na ponad tydzień, do tego dołączyło się przeziębienie - efekt – zamiast pozaliczać kolokwia, siedziałam w domu. Zimnym domu, bo mróz znowu ścisnął, a ja nie miałam możliwości węgla przynieść z piwnicy.



Babci nie było, bo na całą zimę całą wyjechała do córki (mojej ciotki). Znajomi pozajmowani kolejnymi zaliczeniami nie zauważyli, że brak mnie na zajęciach. Zresztą przyzwyczaili się, że z powodu moich wyjazdów na seminaria czasami znikam.

Na domiar złego jeszcze zepsułam junkers i ciepłą wodę mam, gdy ją sobie zagotuję w garnku. Dobrze, że nie wysadziłam w powietrze całego mieszkania i sąsiadów przy okazji...

Czerwiec 1987

Wszystko idzie nie tak... Gdzieś zgubiłam zapal do nauki. Wymyśliłam sobie, że skoro nie umiem, to, chociaż ściagnę. I co? Wylądowałam za drzwiami ! Szłam przez miasto płacząc. W tak głupi sposób zapewniłam sobie „wrzesień jeleniogórski”. Czy ktoś go tak nazwał na ironię? Jak do tej pory nie musiałam uczestniczyć w żadnej imprezie tu na miejscu w tym miesiącu. Po prostu mnie tu nie było. Jak większości studentów. Nie licząc turystów i tych, co mają „drugie terminy”. Na otarcie łez umówiłam się z kolegą z roku - Krzyśkiem, że pojedziemy w sierpniu gdzieś pod Złotoryję szukać agatów. Tłumaczył mi jak wyglądają te kamienie i jak się je rozłupuje, żeby dostać się do, jądra”. No i podobno można trochę na tym zarobić.

Wrzesień 1987

Na całe szczęście tylko jeden przedmiot miałam do zdania i po zaliczeniu jeszcze udaje mi się wyjechać na Szkołę Letnią SSPONZ do Władysławowa. Za wykładowców mieliśmy pracowników Instytutu Spraw Międzynarodowych w Warszawie i byłego ambasadora w USA. Wrzesień nad morzem jest piękny. Nieco mniej podobał mi się rejs statkiem z Helu do Gdańska, dowiedziałam się, bowiem, że cierpię na chorobę morską.

Październik 1987

Niestety nie wszyscy z mojej grupy mieli szczęście znaleźć się na czwartym roku. Trochę nas przesiało. Nawet więcej niż trochę, bo z dwóch malutkich grup naszego kierunku zrobiono jedną. Najważniejsze zajęcia na roku - wojsko. Cały jeden dzień w tygodniu.

Listopad 1987

Koledzy z grupy namówili mnie na niespodziewaną wyprawę w góry. Nic do tego nie zachęcało. Był środek tygodnia, późna godzina i lał deszcz. Jednak namówili mnie

i po przebraniu się w bardziej odpowiednie ciuchy (zgarnęli mnie z autobusu) ruszyłam razem z nimi na Odrodzenie. W Przesiece wysiedliśmy z autobusu już po ciemku. Strużki wody spływały po nas nieubłagane, ale my uparcie szliśmy w górę. Dołączyliśmy do większej grupy i dopiero wtedy dowiedziałam się, że idziemy świętować urodziny kolegi. Ich kolegi, bo ja jego nawet nie znałam. Zarezerwowana sala z łózkami już na nas czekała. Ta największa - z piętrowymi łózkami. Wszyscy się tam zmieściliśmy.

Rano - niespodzianka! Biało. Padający deszcz w czasie nocy przemienił się w śnieg i napadało go naprawdę dużo. Żal było opuszczać to miejsce, ale to w końcu środek tygodnia. Trzeba było wrócić na zajęcia, szliśmy brodząc po kostki w białym puchu. Andrzejki - konne w Miłkowie. W siodłami zorganizowaliśmy sobie nawet lanie wosku.

Luty 1988

Niestety, tym razem sesja egzaminacyjna mnie pokonała. Najpierw pozawalałam trochę zaliczeń. Potem rozchorowałam się tak, że o mało nie wylądowałam w szpitalu. Po dwóch tygodniach z gorączką i na zastrzykach nie miałam już sił podjąć walki o zaliczenie semestru. Może też zabrakło motywacji, bo większość znajomych, z którymi zaczynałam studiować, jest już po urlopach dziekańskich rok niżej? Dość, że zrobiłam sobie przerwę w nauce i szukam pracy...

Czerwiec 1988

Pracę znalazłam - jako kelnerka w kawiarni w Cieplicach. Pracowałam codziennie - od poniedziałku do niedzieli po dwanaście godzin i tak przez trzy miesiące. W maju to już tak cierpiałam, bo tu ładna pogoda, wiosna, kwiaty kwitną, a ja ciągle w pracy. Rano przez park do centrum Cieplic, wieczorem, gdy już ciemno - wracałam do domu. Właściwie tylko po to, by położyć się spać. I od rana to samo. Z końcem maja pożegnałam się z kawiarnianą rzeczywistością. Zarobiłam dość na wakacje. Od rodziców nie chcę teraz brać ani grosza, w końcu ich zawiodłam. Ale poznałam inną stronę życia. Ludzi bez zasad, bez perspektyw, żyjących z dnia na dzień. Gotowi oddać wszystko za parę kieliszków wódki- okraść własny dom, zdradzić kolegę. Nigdy wcześniej z czymś takim się nie spotkałam.

Sierpień 1988

Bieszczady. Cudowne miejsce. Namówiła mnie na tę wyprawę Gosia, przyjaciółka jeszcze z liceum, studentka politechniki we Wrocławiu. We cztery osoby spaliśmy w kolibie - takiej chatce zagubionej pomiędzy połoninami z dala od szlaków. Żeby do niej dojść, trzeba było półtorej godziny iść przez las od drogi asfaltowej. Najgorzej było pierwszego i ostatniego dnia, gdy szliśmy z ciężkimi plecakami. Poza tym dochodziliśmy do szlaków z lżejszym bagażem. Klucze do tego miejsca dostaliśmy od znajomego leśniczego.

Październik 1988

Wróciłam na czwarty rok studiów. Spotkałam Irka i Marcina, również po dziekance. Umówiliśmy się na koncert Ewy Demarczyk. Odwiedziłam w akademiku Irmę, trudno nam spotkać się na uczelni, bo ona na piątym roku ma dużo mniej zajęć i ja też nie muszę tak często pojawiać się w szkole, bo mam parę zaliczeń przepisanych z zeszłego roku. Przede wszystkim wojsko - to cały dzień wolny!

Sierpień 1990

Skończyłam studia i już pracuję. Zostaję w Jeleniej Górze. Pracę znalazłam w Zakładach Lniarskich „Orzeł” w Mysłakowicach. Przydaje się tam moja znajomość języka angielskiego, bo zajmuję się handlem zagranicznym. To jest pewna nowość, bo do tej pory cały handel zagraniczny był w rękach „centrali”. Zakład nie miał żadnej samodzielności w tej materii, zamówienia szły „z góry”. Teraz jednak coś zaczyna się zmieniać, i tą nową ścieżkę mam torować ja. Nawet przyjąłem delegację Włochów. Co prawda było bardzo śmiesznie, bo oni akurat angielskiego nie znali. Mimo to ich wizyta zaowocowała jakimś zamówieniem. Mam wspaniałych współpracowników - panią Jasie i pana Wojtkę. Siedzimy w jednym pokoju, opiekują się mną i traktują mnie trochę jak maskotkę. Bardzo mi to potrzebne, bo wejście w dorosłe życie jest trudne. Poprosiłam ich, by mi wszystko w zakładzie pokazali i wytłumaczyli, bo o produkcji tkanin lnianych nie miałam żadnego pojęcia. Potem siedzę w domu i sprawdzam fachowe słownictwo po angielsku. Mam na siódmą do pracy, więc muszę wstać po piątej rano, żeby zdążyć na autobus, którym dojeżdżam z Cieplic pod teatr jeleniogórski. Tam chwilę czekam na autobus zakładowy i jeszcze chwilę mogę w nim podrzemać, będąc wieziona pod sam zakład w Mysłakowicach. Do domu wracam koło czwartej. I jestem strasznie niewyspana.

W międzyczasie przed rokiem zmarła moja babcia. Od razu ktoś się pojawił, chcąc wyrzucić mnie z mieszkania. Przyszła raz jakaś kobieta, mówiąc, że chce obejrzeć mieszkanie, bo obiecano jej go dać. Zaraz po skończeniu studiów - w czerwcu, myślałam poddać się i wyprowadzić stąd. Ale nie, podjęłam walkę, mocno wspierana przez rodziców. Poza tym jest jeszcze jeden powód, dla którego chcę tu w Jeleniej Górze zostać. Ktoś tu mieszka bliski memu sercu...